

*Wspomnienia Józefa Langego (tekst bez poprawek):*

Zamiłowanie moje do kolarstwa powstało na skutek tego, że Ojciec mój należał do W.T.C już za kawalerskich czasów, bodaj od założenia Towarzystwa i jeździł jeszcze na bicyklach. Wiadomo mi, że z kolarzem Piskorskim zakupili i sprowadzili rowery z Anglii, na których brali udział w wycieczkach turystycznych.

W okresie, gdy Ojciec mój przestał jeździć na rowerze, jeździł na nim mój brat Romuald, a następnie ja nauczyłem się jeździć w czasie wakacji, mając około dziesięciu lat. Po kilku latach rower odmówił posłuszeństwa i Ojciec kupił mi rower wyścigowy, bo ciągle przebywałem na Dynasach, chodziłem na wyścigi, a że mieszkałem bardzo blisko, bo tuż za Uniwersytetem (ul. Gęsta 18) i byłem tam bardzo mile widzianym do tego stopnia, że nawet pozwolono mi łapać rybki na wędkę w ówczesnym stawie wokół którego był tor kolarski ziemny. Pamiętam taki wypadek, że członek W.T.C idąc ścieżką przy torze w czasie wyścigów nie wiem dlaczego, ale wpadł do stawu. Na wspomnianym stawie były urządzone różnego rodzaju imprezy jak np. wianki w wigilię św. Jana wspólnie z towarzystwem wioślarskim na pięknie udekorowanych łodziach lampionami i girlandami z kwiatów, poza tym wypuszczane były barwne fajerwerki, które podnosiły urok imprezy. W pobliżu na muszli słynna orkiestra kapelmistrza Namysłowskiego w strojach ludowych, bodaj krakowskich.

Tuż przed Pierwszą Wojną Światową i w pierwszym roku wojny zacząłem trenować na torze, a nawet po wybuchu wojny były jeszcze urządzone wyścigi na rowerach i motorach, w których brali udział oficerowie rosyjscy na motorach.

Gdy kolarze zostali powołani do wojska, do Oddziałów Motocyklowych jak bracia Jabrzemscy, Gędziorowski i inni, pozostali zaś zapisali się do Czerwonego Krzyża, stwarzając jednostkę pod nr 23, która pełniła dyżury na dworcach kolejowych, niosąc pomoc ofiarom wojny, w składzie której byłem i ja. Następnie po opuszczeniu Warszawy przez wojska rosyjskie wstąpiłem do Straży Obywatelskiej, pełniąc dyżur w Ratuszu na Placu Teatralnym w mieszczącym się tam wówczas lombardzie, a o piątej rano tego dnia zostały wysadzone w powietrze mosty na Wiśle. Po czym zorganizowano z nas lotną straż obywatelską na rowerach.

W 1915 roku wstąpiłem do Legionów, byłem w 6-stym Pułku Piechoty do czasu przysięgi, jako królewiak nie przysięgałem na Beeselera i w drodze do obozu w Szczypiornie uciekłem ukrywając się częściowo w domu, częściowo u rodziny.

W roku 1918 brałem czynny udział w rozbrajaniu Niemców i zajęciu Komendy Miasta, do której byłem przydzielony do adiutantury, przy adiutancie kpt. Ocetkiewicz. Pierwszym Komendantem był pułkownik Miniewicz. Po pewnym czasie zostałem odkomenderowany do 11 Pułku Ułanów.

W pierwszych wyścigach po wojnie brałem udział i pierwszy raz startując wygrałem przebieg, wpadając do finału, który również wygrałem, co już zdecydowało o mojej karierze sportowej w kolarstwie. Początki były bardzo ciężkie dla kolarzy, odczuwaliśmy brak gum. Przy ul. Książęcej mieścił się warsztat rowerowy Franciszka Zawadzkiego, który własnym przemysłem wynalazł sposób robienia cyngielków, w czym ja również brałem czynny udział.

W 1921 roku odbyły się pierwsze szosowe Mistrzostwa Polskie na dystansie 200 km, na szosie Lubelskiej, w których brałem udział - wygrywając, a w tym samym otrzymałem pierwszą koszulkę czerwoną z Białym Orłem - jako Mistrz Polski.

W następną niedzielę po Mistrzostwach Polski na szosie Polski Związek Towarzystw Kolarskich zorganizował Mistrzostwo Polski dla sprinterów, na torze na Dynasach. Przyjechali kolarze z całej Polski i po eliminacjach do ostatecznej rozgrywki został kol. Szymczyk i ja. Regulamin głosił, że należy dwa razy jechać i dwa razy wygrać, a że raz wygrałem ja, a raz kol. Szymczyk musieliśmy trzeci raz pojechać. Pojechaliśmy i nie wiadomo było kto wygrał, czekaliśmy bardzo długo na wynik, robiąc dwa okrążenia, po czym sędziowie nas zatrzymali, podszedł do nas Prezes Związku Towarzystw Kolarskich Bodalski i powiedział: Panie Józiu wobec tego, że były zdania podzielone, kto jest pierwszy, a że Pan już zdobył koszulkę z Orłem Białym ubiegłej niedzieli – przyznajemy dzisiaj zwycięstwo Szymczakowi, a panu Vicemistrzostwo. Ja naturalnie buzi i gratulacje Szymczakowi, bo rzeczywiście dla mnie był to wielki sukces zdobyć Mistrzostwo Polski szosowe, a w tydzień potem vicemistrzostwo w sprincie.

Wszystkie długie biegi na szosie, a także na torze, gdy atakowałem - nie przegrywałem, w sprintach również byłem zawsze w czołówce.

W swoim czasie odbył się pierwszy wyścig trzyetapowy. Wyjazd był z Warszawy. W pierwszym etapie dwa razy przebiłem gumę, a wówczas nie wolno było zmieniać roweru i kolarz musiał sam zmienić dętkę, napompować i jechać dalej. W tym etapie byłem drugi, następny etap drugi - wygrałem. W trzecim etapie wjechałem do Warszawy pierwszy - Tamką w dół i na Dynasy wpadłem od ul. Topiel pierwszy w skrzyżowaniu wpadając na tor betonowy poczułem, że nie mam powietrza w obu gumach, jak to się stało, do dziś nie umiem tego wytłumaczyć, a że na wirażu betonowym nie mogłem jechać bez powietrza, więc z rowerem biegłem do mety i o parę metrów przegrałem - byłem drugi, ale ogólnie po trzech etapach wyścig wygrałem.

O ile sobie przypominam w 1922 r. staw na Dynasach został zasypany, na miejscu którego powstało boisko sportowe, gdzie odbywały się mecze piłkarskie, biegi lekkoatletyczne, pod Zarządem Klubu Sportowego Korona. Na miejscu zaś toru ziemnego został wybudowany tor betonowy.

Dużo również startowałem w biegach za prowadzeniem motoru. Swego czasu kupiliśmy z kol. Jankowskim motor do prowadzenia, za którym jeździł słynny kolarz Weis, motor ten zwany był popularnie kuchnią. Muszę nadmienić, że Weis wygrywał po zaborem rosyjskim wszystkie mistrzostwa, które składały się z trzech biegów za motorami. Zwyciężał ten który miał najwięcej punktów. Dodać tu muszę, że Weis zabił się jadąc samochodem nad Wisłą w pobliżu Cytadeli wybiegł chłopiec z kijem, który chciał podłożyć pod samochód, Weis raptownie hamując skręcił - samochód przewrócił się pod którym Weis zginął.

Za wspomnianą wyżej kuchnią, która była jeszcze na baterijki i często odmawiała posłuszeństwa Jankowski przerobił ją na dynamo i wtedy chodziła już lepiej. Wobec tego, że bieg za motorami trzeba było unowocześnić, gdyż został ogłoszony regulamin Międzynarodowego Związku Kolarskiego, a kuchnia nie nadawała się, sprowadziłem z Francji przepisowy motor i wtedy Warszawskie Towarzystwo Cyklistów angażowało kolarzy zagranicznych, tzw. Sztayerów, naturalnie z motorami i prowadzącymi. Byli to zawodowcy, bo amatorów za granicą nie było. W późniejszym okresie taki motor do prowadzenia zakupiło

W.T.C., a także kolarz Władysław Turowski gdy przestał jeździć na rowerze, to także kupił motor od Niemca, który przyjechał z kolarzem Sztayerem na wyścigi, a więc było już trzy motory. Następnie Henryk Choiński słynny motocyklista, który ścigał się na krótkich motorach na Dynasach zbudował jeszcze trzy motory do prowadzenia.

Przyjechali do Polski sztayerzy; murzyn Ali Naffati, Niemiec Erksleben i zdaje się Holender Karpus. Z Ali Neffatim przeważnie wygrywałem, do Karpusa raz wygrałem, raz przegrałem, a był bardzo dobry. Z Ersklebenem chyba więcej razy wygrałem i z nim właśnie miałem wypadek. A było to tak: Jankowski był bardzo zarozumiały i mówił, że nie jest sztuką wygrać i Niedar się minąć, podbijając na wirażu do góry, do parkanu, ale właśnie minąć to sztuka, dlatego on mnie łapał za motor zawsze z ostatniej pozycji, a my jechaliśmy do końca w biegu z Erklebenem. Wyprzedziliśmy jednego Sztayera i drugiego Sztayera krajowego, zbliża się moment do wyprzedzenia Ersklebena, prowadzący Niemiec na motorze podbija nas do góry, robi się ciasno, wyprzedzać nie można na jednym wirażu, drugi wiraż to samo, tak parę okrążeń jedziemy wyprzedzając naszych kolarzy raz, następnie drugi raz- publiczność krzyczy na Niemca, szybkość coraz większa, na wirażu od ul. Topiel Jankowskin wcześniej zaatakował i prawie się zrównaliśmy, więc na prostej powinniśmy minąć, bo jadąc na wirażu robimy większy łuk, łokciem jestem tak blisko bariery na parkanie, że mam wrażenie ,że zaraz uderzę, wtedy coś trzasło, jak się okazało pękła mi tylna obręcz, orientując się co się dzieje trzymam kierownik mocno, a jadę jak na sankach kilka metrów, nie mogąc utrzymać równowagi, walę się w dół razem z rowerem, uderzam o beton-raz rower, raz ja, tak podobno przeokoziłkowałem się dwa razy i znalazłem się na bieżni, uderzając kaskiem, tj. głowa w bieżnię, rower wyprysnął, jak z procy, a ja odbiłem się od bieżni i stanąłem na nogi, nie wiedziałem, bo kask zsunął mi się na oczy, gdyż pękły rzemyki wewnątrz kasku, ale mimo to zacząłem iść i wtedy usłyszałem okropny wrzask, a to publiczność, która podobno, jak mi później opowiadano, że gdy spadłem, to było cicho jak makiem zasiał, gdy zobaczyli że idę , to publiczność wydała taki krzyk odprężenia. Miałem jednak szczęście, bo przy szybkości 80 km, spadając z wirażu, z samej góry nic mi się nie stało, poza pozdzieraniem skóry, na którą przyłożyłem cynkową maść, bandażując starte miejsca i pojechałem na drugiej sztayerówce, gdyż miałem identyczne dwie. Sędziowie temu grubasowi na motorze po biegu nawymyślali ale on tłumaczył się , że szybkość wyrzucała. W następnym biegu, tak jak zwykle z ostatniej pozycji, po kilkunastu okrążeniach już nie zjeżdżali nam tak i minęliśmy Ersklebena wygrywając. Następnego dnia leżałem, odczuwałem ból głowy, a szyją nie mogłem ruszać, bo miałem sztywny kark. Odwiedził mnie ten gruby Niemiec z Ersklebenem i naszym kolegą Garlejem, wstałem z łóżka, aby włożyć szlafrok, lecz zrobiło mi się ciemno w oczach i zemdlałem, podnieśli mnie, położyli do łóżka i na tym wizyta się skończyła. Przypomnił mi się fakt, że kiedyś Iko na defiladzie, jadąc bardzo wolno, obsunął się na wirażu i upadł tak fatalnie, że złamał obojczyk.

Nie pamiętam, w którym roku pojechaliśmy do Łodzi na sześciogodzinny wyścig amerykański tj. parami. Ja byłem w parze z Szymczykiem i jeszcze kilka par z Warszawy, cogodzinna były finisze, ja kilka razy próbowałem uciekać, ale nie mogłem się oderwać- tak mnie pilnowali. Trzy finisze wygraliśmy, jechał Szymczyk, rozgrywając czwarty finisz. Szymczykowi zajechali łodzianie i Szymczyk nie wygrał, wskutek czego obraził się i ubrany wyszedł na boisko, ale ze już trochę się zmęczyli, bo ciągle próbowałem uciekać, to w końcu udało mi się oderwać i po kilku okrążeniach już byłem lepszy, gdy zobaczył to Szymczyk, widocznie żał mu się zrobiło- pobiegł do szatni, przebrał się i gdy wyszedł z rowerem, to mnie brakowało ćwierć okrążenia do dogonienia. Zmienił mnie, ja trochę odsapnąłem, znów pojechałem i nareszcie wbiliśmy jedno okrążenie, wkrótce był finisz, pojechał Szymczyk, po

finiszu zmieniłem Szymczyka i jak mi później opowiadali koledzy z Warszawy po skończonym biegu, że po tej zmianie łodzianie, uczestnicy biegu protestowali u sędziów, że ja z Szymczykiem nie prawidłowo się zmienialiśmy. Sędziowie protestu nie przyjęli, twierdząc że nie mają racji, że wszystko odbyło się prawidłowo a sędzia z Łodzi Szumski miał powiedzieć: Mało wam jednej rundy, zaraz będzie druga- i rzeczywiście ja w tym momencie znów się oderwałem i po kilkunastu okrążeniach wbiliśmy druga rundę.

Gdy Związek Kolarski postanowił, że będziemy brali udział w Olimpiadzie w 1924 roku w Paryżu, to w styczniu pojechało nas kilku na własny koszt na treningi do Francji. Tam od kolarzy zagranicznych - zawodowców dowiedzieliśmy się, że oni trenują nad morzem śródziemnym i po górach, gdzie odbywa się Tour de France. Ulokowaliśmy się w Mentonie, blisko granicy włoskiej, w pensjonacie, który prowadził były oficer rosyjski. Z Włoch między innymi rowerami przywiozłem sobie rower szosowy, z wolnym trybikiem, był to pierwszy rower w Polsce z tym trybikiem.

Po przyjeździe do Warszawy wkrótce nastąpiło otwarcie sezonu i odbył się wyścig szosowy, na dystansie 50 km, na który pojechałem i ja - wiem, że uciekłem i wygrałem. Nadeszła Olimpiada, wyznaczeni byli do Biegu Narodów na cztery kilometry: ja, Szymczyk, Łazarski i Stankiewicz, piszę siebie na pierwszym miejscu, gdyż zawsze w tej kolejności w tym biegu jechaliśmy, zapasowy był Ryl, pseudonim Iko. Oprócz tego ja miałem startować do biegu 50- kilometrowego na torze.

W Biegu Narodów na 4 kilometry po eliminacjach pojechaliśmy o pierwsze miejsce z Włochami, tor miał 400 metrów, mieliśmy się zmieniać co 200 metrów, ja jak zwykle pojechałem pierwszy, później Szymczyk, następnie Łazarski i ostatni Stankiewicz- i znów ja, ale na mojej zmianie Stankiewicz słabł i nie złapał się do koła, więc musiał się wycofać, zostało nas trzech, ja widząc, że co zyskam na mojej zmianie i odrobię, to na zmianach Szymczyka i Łazarskiego tracimy, więc jak przyszła moja trzecia zmiana pojechałem już 400 metrów, a oni tylko po 200 metrów i wypadło tak, że ostatnie 200 metrów prowadziłem ja, obejrzałem się, a oni się urwali, nawet nie krzyknęli. Wpadliśmy na taśmę ja, Łazarski i Szymczyk, przegraliśmy o kilka metrów i tym samym zdobyliśmy drugie miejsce.

Zdumienie było wielkie, gdy po skończonym biegu został odegrany hymn włoski, a następnie hymn Polski - Mazurek Dąbrowskiego - dotychczas nie zdarzało się, aby po zdobyciu drugiego miejsca był odgrywany hymn, ale widocznie przez kurtuazję dla Polaków Francuzi chcieli to zadokumentować. Wzruszenie nasze było wielkie, które wywołało u naszego kapitana sportowego Wojtkiewicza łzy radości.

Po biegu na 50 kilometrów pojechaliśmy ja i Łazarski, kilka razy próbowałem uciekać i w końcu udało mi się oderwać, jechałem sam 23 czy 24 kilometry, mając jeszcze pół okrążenia do dojścia widziałem już schodząc z wirażu kolarzy, ale nasi wykombinowali, ku mojemu nieszczęściu, żeby Łazarski został - ja do niego dojadę i wspólnie dociągniemy, tymczasem on tak fatalnie to zrobił, że po prostu stanął, ja przeleciałem koło niego, nasi kazali mi zostać- nic mi nie pomógł, bo jechał zbyt wolno - wyszedłem z tempa. Łazarski wycofał się – straciłem wiarę, cały animusz, zrezygnowałem z ucieczki i mnie doszli. Gdyby ktoś z naszych krzyknął, że bieg ma się ku końcowi, to bym się przybliżył do czołówki, zorientowałem się dopiero na ostatnim wirażu, że to już finisz i zacząłem też finiszować, ale nie zdążyłem już wyprzedzić, bo była zbyt blisko meta - wpadło nas kilku prawie razem - całą szerokością toru. Na tablicy znalazłem się jako piąty, ale odniosłem wrażenie, że byłem czwarty. Bieg przegrałem, ale tylko

dlatego, że tak mną pokierowali - raz, że na Łazarskiego, a następnie nie dali mi znać, że było to już ostateczne okrążenie.

Na dowód tego, że miałem rację, to w tydzień po Olimpiadzie przyjechał do Warszawy, zaproszony zwycięzca Olimpiady biegu 50 kilometrów, który z Nim wygrałem. Pojechałem z Wiliamsem z biegu z dwóch startów, tj. na strzał jeden drugiego goni - zwycięża ten, który wyprzedzi, jechałem z nim dwa razy wygrywając.

W krótkim czasie też po Olimpiadzie zaprosiło W.T.C. dwóch Włochów z tej czwórki, do której przegraliśmy na Olimpiadzie, tj. Zuchetti i Demartini. Z tej okazji odbył się bieg z dwóch startów, którym brali udział dwóch Włochów, przeciwko dwóm Polakom. Organizatorzy zapytali mnie, kogo chce mieć za partnera do tego biegu, zawsze jeździłem w parze z Szymczykiem, ale obawiałem się, że Szymczyk może nie wytrzymać, wtedy na średnie dystanse był dobry Staś Podburski, a bardzo pragnąłem żeby Polacy wygrali - wybrałem więc Podburskiego. Pojechaliśmy, w drugim okrążeniu Podgórskiemu spuściła guma, sędziowie chcieli bieg zatrzymać, ale że to miało miejsce na prostej przed sędziami, przejeżdżając dałem znać, że jadę sam- bieg odbywał się dalej. W pierwszych okrążeniach Włosi byli lepsi o kilkanaście metrów, po dwóch, czy trzech okrążeniach nic się nie zmieniło, nie zbliżyli się, tym zdopingowany pojechałem trochę mocniej, zacząłem się zbliżać. W następnych dwóch okrążeniach znów się zbliżyłem, jeszcze dwa okrążenia wyrównałem i tak okrążenie po okrążeniu, wyrównałem coraz bliżej, aż w końcu doszedłem, wyprzedziłem- strzał- wygrałem. Entuzjazm był wielki-koledzy i kibice nosili mnie na rowerze, zanieśli nawet do kabiny. Wywołany musiałem wyjechać na tor, gdyż publiczność się tego domagała pragnąc zgotować mi owację.

Biegi te bardzo lubiłem. W 1924 r. po Olimpiadzie przyjechał do nas na Dynasy Francus Michard, zwycięzca Mistrzostwa Świata dla Amatorów i Olimpiady. Odbył się bieg z czterech punktów okrążenia, ja miałem do Micharda pół okrążenia, a on miał gonić ćwierć okrążenia kolarza Polaka, ja zaś ćwierć okrążenia kogoś z kolarzy zagranicznych. Na strzał pojechaliśmy - Michard po jakimś czasie dogonił Polaka, ja dogoniłem tego, który był o ćwierć okrążenia przede mną, zostaliśmy we dwóch - Michard i ja. On był bardzo szybki, poszedł bardzo mocno na początku, zbliżył się do mnie, ale po kilku okrążeniach wyrównałem, doszedłem i wygrałem. Następnie po starcie w Warszawie Michard został zawodowcem, startował w Mistrzostwie Świata dla Zawodowców i wygrał.

Wszystkie takie biegi zawsze wygrywałem, nawet z zawodowcami, jak Alineffati i jeszcze lepszy od niego Francuzem którego nazwiska nie pamiętam.

Raz w życiu tylko przegrałem, a było to tak: przyjechał do Warszawy kolarz szwajcar Abeglen, bieg z dwóch startów miał być w niedzielę, mój z nim. W przeddzień wyścigu odwiozłem żonę do Kliniki Położniczej, czekałem do późnej nocy, a następnie na telefon. W niedzielę rano pojechałem do Kliniki, tam znów czekałem na rozwiązanie kilka godzin, w końcu dowiedziałem się, że urodziła się córka, a tak pragnąłem syna, gdyż córkę już mieliśmy. Żona bardzo ciężko przeszła poród, byłem zdenerwowany, wyścigi już dawno się rozpoczęły. Wpadłem jak bomba, przebrałem się i pojechałem z Abeglenem do biegu z dwóch startów, byłem sztywny, chociaż to bardzo długo trwało, zanim mnie doszedł i .....przegrałem. Zaraz w środę odbył się rewanż – pojechaliśmy i doszedłem wygrywając bardzo szybko. Kibice powiedzieli, że umyślnie przegrałem pierwszy raz, żeby był rewanż.

I tak przysłała następna Olimpiada w Amsterdamie, byłem coraz lepszy, co wskazywały czasy. W styczniu w 1928 roku wyjechałem do Francji na trening, byłem na Francuskiej Riwierze, następnie w Paryżu, gdzie miałem znajomych, jeździłem na trening kilkadziesiąt kilometrów poza Paryż do znajomego majątku.

W Amsterdamie na Olimpiadzie w 1928 roku miałem startować w Biegu Narodów na 4 kilometry i ze startu zatrzymanego na jeden kilometr. Do biegu na 4 kilometry pamiętam, że startował Szymczyk, Roj z Łodzi, ja- czwartego nie pamiętam. Dwóch sprinterów w sprincie, a w biegu szosowym pewnie również dwóch. Z Zapasowymi była spora gromadka, ale nie sympatyczna i nic się nie układało z nimi. Wiem, że byłem dobry i czasy miałem też dobre, ale bez szczęścia i wszystko pechowo się ułożyło. W Berlinie przesiadaliśmy się, wszystkie rowery i walizki ułożyli na wózki i tragarze zawieźli na inny peron, my przeszliśmy tunelem. Gdy przywieźli nasze bagaże okazało się, że torba moja została skradziona, pobiegliśmy do zawiadowcy i policji, powstał zamęt, pościg zatrzymali kilkanaście minut, ale w końcu musieliśmy jechać. Straciłem wszystko to, co jest najcenniejsze dla kolarza, siodełko, pedałki, pantofle, majteczki podszyte zamszem, koszulki, wszystko to dopasowane. Zrobiłem zakupy w Amsterdamie, ale tych rzeczy w przeciągu 2-3 dni nie można dopasować. Siodełko nowe, sztywne bardzo, to strasznie do jazdy, nowe pantofle także inne deptanie. Czuję się okropnie, wytracony z równowagi zupełnie, a przy tym zakwaterowali nas w szkole, w jednej z klas było nas kilkunastu, koledzy zwiedzali miasto, wracali późno, każdy opowiadał swoje wrażenia, nie można było spać. Druga sprawa, to jedzenie. Przyjechał nawet kucharz z Polski, ale jedzenie nie było takie, jak człowiek jadł w Polsce, dużo ryb morskich w sosach majonezowych i innych ostrych, rano jajka wapniaki, które pachniały, ja stale miałem pieczenie nadkwasotę. Nie wyrażono nam zgody na stołowanie się na mieście. W dzień startu byłem zapytany, co bym chciał zjeść? Powiedziałem, że befsztyk po tatarsku- rzeczywiście befsztyk dostałem, ale taki ostry, że więcej było ostrych przypraw, jak korniszony, grzyby marnowane i bardzo pieprzny, jak samego mięsa. Zjadłem tylko trochę i miałem pieczenie, a oprócz tego dostałem rozstroju żołądka.

Czwórka pojechała fatalnie, sprinterzy, o ile pamiętam także, na szosie chyba jeszcze gorzej, a ja też nie zachwycałem, bo pojechałem z pechem i byłem piaty. Zrobiłem czas na lekkich gumach taki, jak dnia poprzedniego, jadąc na treningu na ciężkich gumach. Gdy ruszyłem, jechałem początkowo dobrze i lekko, ale pod koniec, na ostatnich 200 metrach, tak ciężko jakoś się zrobiło, jakbym miał z ołowiu tylnie koło. Po skończonym biegu, gdy zsiadłem z roweru zauważyłem, że mam mało powietrza właśnie w tylnym kole. Okazało się potem, że guma była przebita, ale nie na protektorze, tylko nad obręczą, na jedwabnym płótnie przebita igłą. Wtedy dopiero uprzytomniłem sobie, że tuż przed startem kręciło się trzech chłopców- pytając mnie, czy to mój rower, odpowiedziałem, że tak - prawdopodobnie byli to sprawcy przebicia gumy, bo jadąc nie mogłem w tym miejscu przebić, a więc chłopcy ci musieli zrobić nakłucie igłą w jedwab.

W 1929 roku przestałem trenować i naturalnie ścigać się. Brat mój wyszedł z garbarni i zostałem sam, nie miałem czasu na rower, w tym okresie zacząłem polować, co kontynuuję do dzisiaj.

Wspomnieć też muszę, że przed II Wojną Światową nie mieliśmy trenerów, masażystów, każdy trenował indywidualnie. Ja zawsze zimą jeździłem do Zakopanego na narty, świetnie robiło wspinanie na Kasprowy, ale nie tak, jak dzisiaj wyciągiem, gdyż to nic nie daje.

Zimą przed sezonem namówiłem Stankiewicza, żeby pojechał do Zakopanego na narty i właśnie tego roku wygrał Mistrzostwo Polski na torze.

Obecnie warunki są nadzwyczajne, kolarze są wysyłani na obozy, wyjazdy na treningi za granicą itd. Przed wojną sportowcy nie otrzymywali żadnych pomocy od Państwa. Jedynym masażystą był popularnie znany wśród kolarzy słynny wrotkarz Kazio Kamiński, a mój osobisty menadżer.

W dniu pierwszym powstania dom mój, w którym się urodziłem (Gęsta 18) został spalony. Grzebiąc w zgliszcach znalazłem żeton - nagrodę za mistrzostwo z wykrytą datą i nazwiskiem, jak również medale Olimpijskie, które złożyłem w bieżącym roku do Muzeum Sportowego w Warszawie przy ul. Wawelskiej. Wszystkie motory do prowadzenia, jak mój, Turowskiego i trzy Choińskiego spaliły się u mnie na ul. Gęstej w czasie Powstania - nie pamiętam, co stało się z kuchnią i motorem W.T.C